Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. No. 26. Leszno, dnia 31. Grudnia 1836.



Widok zamku w Łucku na Wołyniu.

Widok zamku w Łucku na Wołyniu.

(Rycina i opis z podróży Raczyńskiego do Turcyi.)

Starożytny zamek Łucki, dziś zaniedbany, poważnie się wznosi nad brzegami rzeki Styru. Nie wiadomo, kto go zbudował; nie sądzę atoli, aby był dziełem Włodzimierza, xięcia ruskiego, który miasto Łuck założył: zamki w owym wieku, jak świadczy Naruszewicz, pospolicie z gliny i drzewa stawiano.

Łuck pamiętném jest miejscem w dziejach naszych z odprawionego roku 1429 walnego zjazdu, na którym przytomni byli Władysław Jagiełło, król polski; Witold, brat jego; Zygmunt, cesarz Niemiecki z cesarzową Barbarą; Bazyli, car Moskiewski; Eryk, król Duński, mistrz krzyżaków i kawalerów mieczowych, i posłowie Paleologa, cesarza Wschodniego. Monarchowie ci zjechali się do Łucka, w celu obmyślenia sposobów oparcia się potędze tureckiéj, coraz bardziéj naówczas grożącéj: osłabić zaś Polaków, skrytym było zamiarem cesarza Zygmunta; żądał atoli poprzedniczego zezwolenia króla i stanów polskich; a gdy na radzie Zbigniew Oleśnicki, Biskup Krak., jak najmocniéj oparł się temu zamiarowi, cesarz zawiedziony w swych nadziejach, wrócił do Węgier.

Kraj między Łuckiem a Dubnem, zdawał mi się nader pięknym: wszystkie niemal wzgórki przyjemnym oko karmią widokiem. Skaliste Krakowa okolice pospolicie za najpiękniejsze w Polsce uchodzą; ja przecież posadę Wołynia przekładam. Wzgórki w tych okolicach dosyć wyniosłe, dosyć uprawne i obfitym okryte plonem, powabniéjszy w oczach moich wystawiają obraz, niżeli ogromy skał granitowych lub marmurowych, które zachwycają malarza, lubo je przyrodzenie na wieczną niepłodność skazało. Patrząc na te ziemię tak żyzną, na te łąki tak zielone, na te liczne trzody, na te rzeczki i stawy, w krainę Gesnera wstępować mniemałem. Widoki w tym kraju nie tylko że oko na chwilę bawią; lecz wędrownikowi to słodkie zostawiają uczucie, iż przyrodzenie szczodrze mieszkańców jego wszystkiemi życia potrzeby opatrzyło. Nie tak jest pochlebnym obraz włościan wołyńskich: ludzie ci bez najmniejszego oświecenia, są smutni i nieochędożni: nie mają ani przemysłu wielkopolskich wieśniaków, ani rubasznéj wesołości krakowskich, i zdają się nieznać innego szczęścia, nad zbyteczne używanie gorzałki.

Agay Han.

(Powieść historyczna druk. 1834 w Wrocławiu.)
Kronika literacka.

Odczytawszy kilka razy z coraz większą przyjemnością, powieść historyczną Agay Han, umyśliłem poświęcić słów kilka, temu tak pięknemu, a tak mało znanemu utworowi literatury ojczystéj, i zarazem zwrócić nań uwagę czytelników. Powieść ta wyjęta z pamiętnych czasów Zygmunta III. wystawia życie i zgon dumnéj Sandomierzanki Maryny Mniszech; ileż to imie świetnych, lecz nieszczęsnych kolei nie przywodzi na pamięć? Dwie główne namiętności, miłość i duma tworzą tło całéj powieści, głównemi jéj charaktery Agay Han, Maryna Mniszech, Igor Zarucki; te w krótkości przebiegnę.

Agay Han dziecię wschodu, syn Hana tatarów, napojony z lat niemowlęcych, wrażeniami dzikiéj przyrody z wyobraźnią wschodniém wygrzaną słońcem, wychowany wśród kwiatów i koni, rozpływający się w słodyczach miękkiego życia wschodniego; lecz zarazem dzielny i srogi. Młodzieńcem traci matkę, daléj ojca na polu bitwy: kilka kropel krwi jego były ostatniém błogosławieństwem Agay Hana. Unika niewoli, udaje się do Maryny, zostaje giermkiem carowéj, przez czas jéj zamęzcia za dwoma Dymitrami i Zaruckim. Piękność Maryny obudza w jego sercu miłość gorącą jak niebo, pod którém się urodził; lecz nadto wyniosły, nadto dumny z swego rodu, tylko wtedy ją wyjawia, kiedy niebezpieczeństwo grozi Marynie, kiedy jéj wybawcą być może. Zimna duma carowéj odpycha giermka, do ostatniéj chwili wszystko swéj namiętności poświęca, wzgardy znieść nie może, wzgardzona miłość wyradza się w zemstę, wpada w obłąkanie, strąca Marynę w jezioro, sam porwany na bryle lodu, przepada w odmętach. Takim Agay Han; lecz jakże w kilku słowach, wyrazić tę nieustanną walkę namiętności, tę gorącą miłość wschodnią, tę wyniosłość, która w miłości zaledwie się upokarza. Cała jego istność miłością, miłością bez granic i końca, jak step jego ojczyzny jasną, jak gwiazdy co mu niemowlęciu przyświecały, słodką i miłą jak woń kwiatów i śpiew odalisek, między któremi się schował, gwałtowną jak konie na których pustynie przebiegał. Naprzeciw niego Maryna Mniszech, jéj duszą duma, jéj celem tron, dwa razy z niego strącona, oddaje Zaruckiemu, hetmanowi Kozaków rękę, w nadziei, że ją w mury Kremlina wprowadzi. Jak Agay Han miłości, ona wszystko dumie poświęca, wybitny charakter, wielka, lecz skalana dusza w kobiecie, nieustraszone męztwo, bezsumienność w użyciu wszystkich środków, by dojść do celu. Pani Astrachanu jako żona Zaruckiego, i ten tron wkrótce opuścić zmuszona, chroni się z mężem w podziemne jaskinie, w tém schronieniu traci syna, syna Dymitrowego. Zaledwie chwil kilka uległa pierwszemu popędowi macierzyńskiéj boleści, wnet duma bierze górę, umarłe dziecko tuli do łona, carską koronę na skronie mu kładzie, przywdziewa w złote szaty i tak dopiero grzebie w jaskini, ciesząc się z jego śmierci, bo uniknie niewoli prawy car, prawy pan. Niezadługo traci męża Zaruckiego, pełzną wszystkie nadzieje Maryny, ale nie stygnie duma w jéj duszy. W objęciach Agay Hana, traci nadzieję tronu, budzi się w niéj dopiero nowa duma jako polki

chrześcianki, nią odpycha poganina, wyznawcę proroka. Trzecią główną osobą powieści jest hetman Igor Zarucki, mąż nieugiętéj duszy, nieznający niebezpieczeństwa, kocha Marynę wiernie aż do zgonu i broni ją jako rycerz, śmierć dla niego niczém, patrzy śmiało z rozwagą godną męża, na zgon niechybny, wielkość go unosi; mężny wierny smętny, jak na syna stepu przystoi, syn stepu miłuje konie jak własną rodzinę.

Takiemi są trzy główne charaktery powieści, powieści poetycznéj z całą mocą skreślonéj; na każdéj karcie obraz do przeniesienia na płótno gotowy. Wszędzie wielka poezya duszy, ubarwiona kolorami, albo wschodniéj wyobraźni Agay Hana, albo dumy Maryny, albo szlachetności i poświęcenia Zaruckiego, nader piękną tworzy całość. Język jasny, czysty, porywający, nową wschodnią barwą przetkany, w potrzebie rodzinnéj jędrności nie traci. Największą zaletą powieści ta bezwarunkowa jedność indywiduów z przedmiotem; każdy charakter odpowiada przyrodzie go otaczającéj, tak, że bez niéj lub ona bez niego wzajemnie, nie mogłyby być pomyślanemi. Nadzwyczajna harmonia sprzeczności, tak rzadka, jedyna, co prawo do nazwy utworu pięknéj sztuki nadaje. Wywikłanie treści zajmujące; niepodobna czytelnikowi się odezwać; ciągle porywany, ciągle w środek działania przeniesionym bywa.

Te kilka myśli o nowéj ojczystéj powieści; oby czytelnicy sami ją przeczytawszy, uzupełnić chcieli zarys przezemnie słabo tylko rzucony!

K. M.

Zazdrość.

(Wyjątek z listu.)

A jakże ci niezazdrościć!
Gdy ci wszystko więcéj sprzyja?
Bez czego ja muszę pościć,
To ci się samo nawija.
W prawdzie dukwisz przy stoliku;
Ale często dla zabawy;
Nieznasz téj gorzkiéj potrawy:
Szperać po aktach bez liku,
Nadto: obowiązki twoje
Nie wszystek ci czas twój trawią:
Czytasz jak Grek burzy Troję;
I skrzypki cię czasem bawią.
Ja przywalon papierami,
Nie mogę się z miejsca ruszyć;
I łeb sobie muszę suszyć,
Nad obcemi wyrazami.
Ani myśleć o tém mogę:
Aby poigrać z Muzami;
Pegaz mój wywinął nogę;
Nie bawię się wierszykami. *)

N. K.

Poczciwe Kapralisko.

Oryginalność w sztukach jest rzeczą wyborną: lecz nie należy ubiegać się za nią, występując z granic zdrowego rozsądku i prawdy; gdyż wtenczas zamienia się w przysadę i niedorzeczność. Oryginalność jeżeli ma być pochwały godną, powinna być naturalną, niewymuszoną i z rozumem zgodną, i taką znajdujemy w wybornych dziełach malarza francuskiego Biarda. Artysta ten posiada w wyższym stopniu, niż ktokolwiek, talent upatrywania śmieszności, i wydawania onychże osobliwszym, a jemu tylko właściwym sposobem. Obfite spostrzeżenia, uczynione w czasie swych podróży, umie on wydać z całą mocą i prawdą: tak poważne, jak i śmieszne sceny, których był świadkiem: jednym z najlepszych jego obrazów jest poczciwe Kapralisko.

Tytuł obrazka wskazuje nam główną osobę, podrzędne zaś figury jest połtuzina żaków, których żandarm schwytał na uczynku, to jest kąpiących się na miejscu zakazanem przez policyą, nie daleko damskich łazienek.

Z podziwienia godną akuratnością i prawdą wystawił malarz każdego z tych żaków w innéj postawie, stósownie do jego charakteru, mającego się w nim rozwinąć, a który już teraz w zawiązku się maluje. Stary Kapral zabiera ich odzież z poważną głupowatością, aby dać poznać tym psotnikom całą powagę swego urzędu; a z nich każdy takim się w téj chwili pokazuje, jako w przyszłości będzie w obliczu istotnego nieszczęścia. Pierwszy, uległszy pod ciosem przeznaczenia, oddala się ze swemi pęcherzynami, rzewne łzy wylewając; drugi znowu ufając swéj zręczności, chce fortelem wydobyć straconą odzież: trzeci znowu błaga Kaprala, aby mu oddał jego koszulę i spodnie, kamzelkę i trzewiki: czwarty, którego natura obdarzyła podobno największą porcyą satyryczności, wyciąga ręce do góry, przyprawia niby ośle uszy, dając poznać, że i na przyszłość podobne w życiu przypadki, więcéj do śmiechu jak do płaczu pobudzać go będą, i że powaga władzy niewielkie u niego mieć będzie znaczenie. Piąty oddaje się zabawie kąpania się, nie troszcząc się wcale o to, co się naokoło niego dzieje. Tak więc widzimy, że malarz wszędzie zachował ścisle ów przepis Horacyusza, mogący być zastósowanym równie do malarza jak poety: Notandi sunt tibi mores.

---

*) A wierszyki piszesz przecie?
Trudno uwierzyć poecie!

P. R.



Poczciwe Kapralisko.

Lampart.

Ostrowidza, rysia, lamparta, nieraz naturaliści z sobą mieszali, biorąc jednego za drugiego: tymczasem późniéjsze badania dowiodły, że te zwierzęta, lubo do jednego należą rodzaju, różnią się między sobą: różnicę stanowi liczba plam pewnym porządkiem po skórze rozrzuconych. Liczba tych plam w jednéj linii dochodzi 8 lub 9 u lamparta, podczas gdy ryś ma ich tylko 6. Z resztą lampart bardzo podobny do rysia kształtem, przymiotami, tudzież innemi organami. Ma około 3 stóp długości bez ogona, który sam dwie a czasem i półtrzeciéj stopy długi, z resztą ma własności i naturę kota. Lampart napada kozy i inne słabsze czworonożne zwierzęta, rzucając się za niemi nawet na drzewa, jeżeli tam szukają schronienia: sam także w niebezpieczeństwie wskakuje na drzewa uchodząc napaści. Starożytni nieznali lampartów senegalskich, z Gwinei i południowéj Afryki, odznaczających się piękną żółtawą siercią z czarnemi plamami w kształcie pierścieni lub róż po bokach.

Rysia przyswoić można, a nawet używać do polowania w gorącym klimacie Azyi; przeciwnie lampart, równie jak ostrowidz, jest zuchwalszy i nieugięty. Przebywa najczęściéj w gęstych kniejach, zwiedzając często okolice rzek i pustkowia, gdzie się spodziewa uchwycić zdobycz z bydła lub zwierząt, przychodzących tamże do pojenia. Lubo z łupu tylko żyje i bardzo jest chudy, podróżni utrzymują, że jego mięso nie źle smakuje. Indyanie i murzyni do przysmaczków je nawet liczą: i nie masz w tem nic dziwnego, kiedy psie mięso także u nich za wyborne uchodzi. Skóra lamparta bardzo jest szacowaną i daje piękne i drogie futro: lecz najdroższa jest, gdy jest żółtawéj maści, a plamy czarne i wyraźne.

Podług opisu podróżnych, lampart z Gwinei rzuca się na wszystkie zwierzęta, nawet na ludzi, czego nie czynią ani lwy, ani tygrysy, jeżeli ich głód do tego nie zmusza. Głowa jest miernéj wielkości, paszcza krótka, szeroka, uzbrojona kłami, które tamtejsze damy na szyi zamiast korali noszą. Oczy jego pałające ogniem, w usta-



Lampart.

wicznym są ruchu: samem tylko oddycha morderstwem: pazury ostre i mocne, które równie jak kły służą mu do rozszarpania zdobyczy.

Przestroga.

(Dalszy ciąg.)

Pan L. wracał sam jeden, konno. — Słowa, które przy pożegnaniu z Majorem był wyrzekł, pochodziły z prawdziwego uczucia. Gdy objął bank, a z powracającem szczęściem przytomność i rozwaga wróciły, ochłonąwszy z gorączkowego zapału, ze wstydem rozbierał sam w sobie, w jak niekorzystnem świetle okazał się oczom sąsiadów i obcego człowieka; z przestrachem rachował okiem nałożone marki, i drżał w duszy za każdą taliją, ażeby z ust Majora nie usłyszeć strasźliwego wyrazu: basta. Ale poznał i przekonał się wkrótce, że jedynym celem przedłużonéj gry Majora, była chęć ułatwienia mu odegranéj. Nic tak nie wpływa na obudzenie szlachetnych uczuć w sercu naszem, jak widok szlachetnego względem nas postępowania drugich. Równo z tem odkryciem Pan L. uczuł się wyższym nad słabość swoję; nie żałował, nie dbał o pieniądze; i raczéj lękał się jak upokorzenia, ażeby go Pan Major nie chciał pokwitować zupełnie. — Doznał więc rzeczywiście pewnego rodzaju radości, gdy ten na stu dukatach poprzestał. — Ale ciemność, zimno, samotność ostudziły powoli to piękne uniesienie, a miejsce jego znowu dawna słabość zajęła. Nadaremnie Pan L. wzywał pomocy rozumu i serca; — przekonywał sam siebie, że strata nie jest dla niego znaczącą; że nie mógł usunąć się od gry bez wystawienia się na pośmiewisko sąsiadów; że nie mniejby się na nie wystawił, gdyby Pan Major folgując mu jak dziecku, do reszty odegrać się pozwolił; że zatem, ani żałować przegranéj, ani jéj sobie wyrzucać nie powinien; — daremnie rozbierając postępowanie Majora usiłował obudzić w sobie raz już doznane uczucie; — żal, gniew i zgryzota z przegranéj, brały górę nad rozumowaniem, a obraz stu dukatów, które będzie musiał dobyć ze szkatuły i w cudze ręce odliczyć, stawał mu bezprzestannie przed oczy.

Wiele ksiąg napisano o wielkich namiętnościach ludzkich, o wynikających z nich cierpieniach i skutkach; walka z niemi uważana jest za oznakę cnoty w człowieku, zwycięztwo, za najpiękniejszy tryumf ludzkości; świat go podziwia i sławi. — A jednak namiętności drobne, błahe, codzienne, daleko więcéj udręczeń i cierpień sprawują w ogóle ludzkości; walka z niemi tem potrzebniéjsza, tem trudniéjsza, że jéj świat nie tylko zachęty, lecz sprawiedliwości odmawia; i zamiast dodać męztwa walczącym, częściéj ich owszem osłabia i upokarza szyderstwem. Jak gdyby żółnierz napadnięty w ustroniu od nieprzyjacielskiego ciura, mniéj okazywał odwagi, jeźli mu się dzielnie opiera, jak ów, co w obec wojsk przyklaskujących z znaczniéjszym mężnie walczy przeciwnikiem Różnica jest w godności przeciwnika, może być w sile, lecz niema jéj w męztwie żółnierza. I równa jest cnota w człowieku czy dumę lub zemstę poskramia, czy nad skąpstwem lub bojaźliwością, mocą woli swojéj przemaga. W ostatnim nawet razie zwycięztwo tem jest trudniejszem, na tem większą pochwałę, jeźli nie chwałę, zasłużyćby powinno: że już sam rodzaj pokonanéj wady, mniéjszą z natury siłę w człowieku oznacza.

Przez większą połowę drogi zanurzony w sobie podróżny łamał się z dręczącemi myślami, które w nim, jak urojenia w ciemności, w coraz odmienne przerzucały się kształty. Zmordowany nareszcie bezskuteczną walką, puścił wodze koniowi i myślom, i smutnie głowę ku piersiom skłoniwszy, zdawał się ich zwycięztwo uznawać. Lecz nagle myśl nowa, niespodziana, mimowolna, jak poszept kuszącego szatana, przenikła go i obudziła z letargu. „Gdyby w nocy kozacy.... gdyby Major... gdyby...!“ — nie dał sobie dokończyć straszliwego pomysłu, — lecz szybko obejrzawszy się w koło, jakby miał kogoś obok siebie zobaczyć, świsnął, krzyknął na konia, i spiąwszy go ostrogami pędził, jakby od złéj myśli uciekał. Lecz zła myśl, jak czarna jaskółka, gdy się za podróżnym ugania, wciąż zaglądała mu w oczy i szczebiotała do uszu: gdyby Majora wygnali, — gdyby Majora zabili — nie musiałbyś płacić pieniędzy!“ — „Widocznie mieć muszę gorączkę, — rzekł Pan L. sam do siebie, i rozrzuciwszy płaszcz, którym się otulał, zdjął czapkę i skronie nacierał. — Lecz myśl wygnana z głowy, schroniła się do serca; pomysł zamienił się w życzenie. — Tu już zabobonny przestrach i rozpacz ogarnęły Pana L. — „Boże! zmiłuj się nademną!“ zawołał głośno; — „o ja nieszczęśliwy! ja nędzny! — do tegoż nareszcie przychodzi, że dla marnych stu blaszek życzę śmierci człowiekowi, i złych myśli pokonać nie mogę? — Boże dodaj mi siły, wybaw mię od słabości mojéj, abym w moc złego ducha nie popadł!“ — i to mówiąc, łzy upokorzenia i skruchy stoczyły się po twarzy; podniósł oczy ku niebu jak gdyby ztamtąd, wzywanego wsparcia wyglądał; a usiłując innemi myślami zatłumić tę, z którą walczyć już nie śmiał, przyspieszył biegu konia i stanął wkrótce przed gankiem swojego domu; a zaleciwszy sługom, aby go obudzili przed świtem, nierozebrany rzucił się na łóżko — i zasnął.

Ledwo sen pierwszy zaczął sklejać powieki, zdało mu się, że słyszy na dziedzińcu tentent koni i brzęki pałaszów, i zaraz potém; mocne kołatanie do drzwi i głosy wielu ludzi w sieni. Porwał się więc i wyszedł na spotkanie niespodzianych gości. Pierwszym, którego napotkał, był oficer kozacki okryty burką sączącą od deszczu, z pod któréj widać było parę pistoletów u pasa, ładownicę, pałasz i obok niego wlokący się po ziemi kańczug. „Gdzie gospodarz?“ zawołał groźno wchodząc do pokoju. — „Ja jestem,“ odpowiedział Pan L. — „Nie ma-li u was Francuzów?“ — „Żadnego — za to zaręczam.“ — „A niewiadomo wam gdzieby ich znaleść?“ — Pan L. nim jeszcze to zapytanie usłyszał, na sam widok wchodzącego oficera, uczuł odradzającą się w sobie myśl i życzenie, co go już w drodze ścigały; które sam wtedy z taką wzgardą i obrzydzeniem odrzucał, a które, — rzecz niepojęta! w téj chwili właśnie, gdy go najbardziéj przerażaćby powinny, gdy tak łatwo w uczynek zamienić się mogły, — nagle całą swą zgrozę w oczach jego straciły. Czuł wprawdzie jeszcze jakiś głos wewnętrzny, co go o niebezpieczeństwie ostrzegał; lecz była to raczéj obawa posądzenia i niesławy u ludzi, niż wstręt do złego uczynku; — a i ten głos zbawienny coraz mniéj dawał się słyszeć, w miarę wzmagającéj się żądzy ocalenia przegranych pieniędzy. W tym stanie wewnętrznego wahania się Pana L. doszło go zapytanie oficera; zmięszał się, i w danéj odpowiedzi tak się wikłał i jąkał, że zamiast położyć koniec dalszym badaniom, większe tylko podejrzenie w pytającym obudził. „Mości Panie!“ — rzekł surowo oficer, — „powinność moja i służba każą mi poszukiwać i ścigać nieprzyjaciół mojéj ojczyzny. Z niezrozumiałéj odpowiedzi waszéj domyślam się, że wiesz gdzie się znajdują. Proszę mi odpowiedzieć wyraźnie: tak, albo nie, ale słowem oficerskiém zaręczam, że jeżli fałsz najmniéjszy odkryję, każę was okuć w kajdany i do głównéj kwatery dostawić; a po domu waszym kozakom z łuczywem potańcować pozwolę.“ — W rysach, i w głosie oficera znać było, że nie naprożno chce straszyć i że co obiecywał dotrzyma. Strwożony Pan L., usprawiedliwiając się sam w sobie przymusem, naciskany prócz tego coraz nowemi pytaniami oficera, powiedział mu wszystko z kolei: o przybyciu kolumny do miasteczka, o jéj liczbie, słabości, a nawet i o gospodzie Majora. — Wysłuchawszy go oficer, podziękował mu za życzliwość; i nie przyjmując nawet ofiarowanego posiłku, rozkazał ludziom swoim wsiąść na koń, i sam stanąwszy na czele, ruszył kłusem drogą do Smorgoń! —

Z niknącém echem tententu oddalającéj się spiesznie konnicy, Pan L. ophonął z przestrachu, w jaki go obecność i groźby oficera wprawiły; lecz, gdy się zastanowił nad tem, co się stało, i co się jeszcze w skutek tego stać musi; gdy wszedł w bliższe rozpoznanie pobudek, które go do wyjawienia wszystkiego przywiodły; zgryzota i rozpacz ogarnęły serce. Dwa straszliwe wyrazy, jak przekleństwo odlatującego Anioła, zabrzmiały w głębi duszy jego; dwa straszliwe imiona: zdrajca, zabójca!.. — którémi go Bóg i ludzie przed sąd swój wywoływać będą, a na które, niestety! czuł że sumienie jego odezwać się będzie musiało!“

Jak człowiek nad załamującym się brzegiem przepaści, chwyta się choć najsłabszéj gałęzi, by się ponad głębią utrzymać; tak Pan L. wszystkiemi siłami swéj duszy ujął się ostatecznéj wymówki: że był przymuszonym, że się oprzeć nie mógł. Podpora równie słaba jak gałąź, rozpacz występku jak otchłań bezdenna!... — Lecz jeszcze jest czas zapobieżenia złemu! — Droga, którą ndali się kozacy, omijając las i bagniska, dużym łukiem do miasteczka kołuje; przez las jest ścieżka prosta, cięciwa owego łuku; — dobry

koń i śmiały jeździec w godzinie staną u celu, jadących wielką drogą uprzedzą! — Co pomyślał, wykonał. — Porwał ze ściany parę pistoletów, porwał z szkatuły sto nieszczęsnych dukatów, i wpadłszy na koń pędził co tchu starczyło, nie równą, krętą, w ciemnościach nie dojrzaną ścieżką. Niespokojność dodawała mu skrzydeł; — każda chwila zdawała mu się godziną. Już przebył grząskie bagniska; oblane lodem gałęzie klekotały nad jego głową, gdy twarzą na grzywie konia oparty przelatywał gęstwinę lasu. Mroźny wiatr wył przeraźliwie; spłoszone z drzew kawki i wrony trzepotały w około krakając; on pędził i na nic nie zważał. Na świt zabierać się zaczęło: zarośla coraz rzedniały; już widać pole; chwila jeszcze a ujrzy miasteczko! — Jeździec odetchnął swobodniéj, ostatnich sił z konia dobywa; — już wybiegł z lasu, spogląda; — o rozpaczy! on zbłądził! wziął się drogą na lewo, miasteczko na prawo zostało; — pół mili jeszcze ma drogi — a świt już błyszczeć zaczyna, a koń zadyszany chwieje się, musi odpocząć lub padnie!... Teraz to nieszczęśliwy jeździec poznaje błahość pieniędzy; — oddałby skarb największy, żeby siły konia pokrzepić; przyjąłby ubóstwo i nędzę, żeby tylko zbrodni zapobiedz; — pieniądze czuje w kieszeni, ale z nich ratunku żadnego! — Złorzecząc i rozpaczając raz jeszcze konia swojego usiłuje wzbudzić do biegu; napróżno! — koń skoczył razy kilka, zarył nozdrzem i upadł. On zrywa się z siodła i bieży; zrzucił płaszcz i zwierzchnie odzienie, bo mu w niem ciężko, gorąco; trawiony ogniem wewnętrznym, wiatru i mrozu nie czuje; ogląda się na wschód i bieży. Już ze wzgórza widzi miasteczko, już się do bram jego przybliża — gdy nagle wystrzał ze strzelby, jakby weń kulą ugodził, przeraził go i w biegu zatrzymał. Coraz gęstsze wystrzały, szczęk broni i hałas w miasteczku dały poznać, że przybywa za póżno. Machinalnie skoczył znów naprzód i spieszył prosto na odgłos. Dobiegłszy rynku, ujrzał jak cała kolumna w gęste ściśnięta szeregi w przeciwną ustępowała ulicę, zwracając się i odstrzeliwając. Kozacy rozbiegłszy się po rynku, pochyleni na siodłach, z nastawionemi pikami, nacierali i cofali się nazad, przeraźliwym okrzykiem napełniając powietrze; kiedy tymczasem drudzy, w milczeniu rozpierzchnieni po bokach, to zabiegając naprzód kolumnie, to czając się po za domami, z karabinków ognia dawali. Na rynku żadnego trupa niebyło; porządny szyk kolumny dowodził obecności wodza, i bezpieczny jéj odwrót zaręczał; — musieli się spodziewać napaści, albo ich kto o niéj uprzedził. Pan L. poglądał z radością; a pewny ocalenia Majora, z jednéj ostateczności wpadł w drugą, cieszył się ze swego postępku widząc, że się razem od zgryzot i od opłaty uwolnił. — Szedł jednak do Majora, by się lepiéj o wszystkiem dowiedzieć. Brama i drzwi stały otworem, na dziedzińcu niebyło nikogo. Wszedłszy do izby, wzdrygnął się widząc rozsypane na podłodze karty, lecz co go bardziéj strwożyło, był to kapelusz, mundur i szpada Majora, spokojnie na stoliku leżące. W drugim pokoju stało łóżko jego; tam ujrzał otworzone okno wychodzące na ogród, niespokojny zbliżał się, by wyjrzeć, gdy w tem usłyszał jęk i chrapanie jakby konającego człowieka, pochodzące z za okna. W jednéj chwili Pan L. ujrzał się w ogrodzie; lecz obraz, co się tam oczom jego przedstawił, przewyższył okropnością swoją wszystkie jego przewidzenia i trwogi. Na kupie suchych liści i śmieci przed oknem, leżał człowiek twarzą do ziemi, na w pół tylko ubrany; — długie strumienie krwi, co mu pierś i koszulę broczyła, czerwieniły się w koło po śniegu, i gdyby nie chrapliwy oddech i konwulsyjne drganie rozkrzyżowanych rąk i palców, wziąśćby go można było za umarłe już ciało. Pan L. krzyknął z rozpaczy; na głos ten umierający podniósł się z wolna i zwrócił ku niemu twarz jak mchem całą mroźnym szronem okrytą, posiniałą od zimna i bladą. Był to sam nieszczęśliwy Major, oczy jego spotkawszy się z oczyma przychodnia, zaiskrzyły ostatkiem życia: „Czekałem cię zdrajco!“ zawołał, — „nie zapłaciłeś, — zapłacisz!...“ — wskazał ręką ku niebu, rozciągniął się na śniegu i skonał. Pan L. stał nieruchomy; dziwna cichość obeszła go wkoło, gorącość rozlała się po członkach, pamięć i zmysły utracił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Myśli.

Wielki filozof indyjski Konfucyusz zalecał swym zwolennikom wierne zachowanie dziewięciu następujących przepisów, jeśli do prawdziwéj mądrości przyjść pragną:

1. Gdy się przypatrujesz rzeczy jakiéj, staraj się ją rozważyć podług wszystkich jéj własności, abyś ją doskonale poznał.

2. Gdy czego słuchasz, usiłuj, abyś to wszystko, co słyszysz podług właściwego znaczenia zrozumiał.

3. Czołem posępném i zachmurzoném serc ludzkich od siebie nie odrażaj nigdy.

4. W obcowaniu, grzecznością i uprzedzaniem współbraci, względnością twoją dla nich, jednaj ich dla siebie.

5. Gdy się do jakiego dzieła zabierzesz, wszelkiego przykładaj starania, abyś je wykonał jak najdokładniéj.

6. Gdy co mówisz, nigdy nie opuszczaj rzetelności i prawdy, a język twój niech będzie wiernym tłumaczem twojego serca.

7. Gdy znajdziesz w wykonywaniu powinności twoich trudności jakie, szukaj rady u wiernego przyjaciela.

8. Gdy się na kogo rozgniewasz, pamiętaj na szkaradność zemsty i jéj nieszczęśliwe skutki.

9. Gdy o pomnożenie majątku twego starasz się, nie zapominaj o sprawiedliwości.

Przysłowia i piosnki gminne.

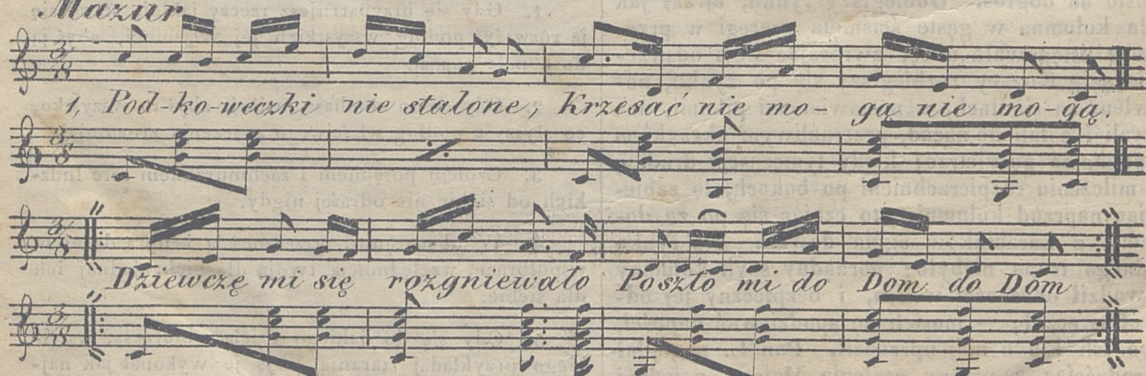
Po starszemu na gałąź.
Co ma wisieć, to nie utonie.
Uwija się jak mucha w smole.
Co głowa, to rozum.
Co kraj, to inny obyczaj.
Porywać się z motyką na słońce.
Nie ciągnij psa za ogon, bo cię ugryzie.
Zły jak karczmarka.
Dziwnyś jak flaki z olejem.
Doktor Jugo, kogo leczy, nie będzie go długo.
Lata jak postrzelony.
Brakuje mu piątéj klapki.
Słyszy że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele.
Dbasz o mnie, jak pies o piątą nogę.
O wilku mowa, a wilk idzie.
Urodził się w czepku.
Cicha woda brzegi rwie.
Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy niechcą.
Dałże sobie nie chleba.
Wyjdzie jak oliwa na wierzch.
Oddam ci na cztery króle (t. j. nigdy).
Pańska łaska jeździ na pstrym koniu.
Tańczy jak niedźwiedź (t. j. niezgrabnie).
Nie wie zkąd kozy gnać.
Cieszy się jak nagi w pokrzywach.
Kto nierychło przychodzi, sam sobie szkodzi.
Prosimy z sobą, po łyżkę do dom.
Przyszedł do kościoła świeczki gasić.
Obiecanka, cacanka; głupiemu radość.
Dwa grzyby w barszcz.
Gracz z Piasków.
Lepiéj kotu na ognisku, niżeli psu na wiorzysku.
Pies leży na barłogu, sam go nie je, a drugiemu nie da.
Przymawia kocieł garnkowi, a sam murzy.
Kto jakiéj smaki, myśli, że każdy taki.
Tłusty połeć smarować.
Nowe sitko na kołek, a stare w kąt.
Wstaje, gdy dziad idzie do dziesiątéj chałupy.

U naszego Pawła,
Stodoła zapadła,
Krowa mu się ocieliła,
Mucha cielę zjadła.

Poszedł ksiądz, na zając,
Pojął suczkę w łycko.
Latajże, purcajże,
Moje ogarzycko.

Upiłem się ciepłém piwkiem,
Układłem się pod kominkiem;
Nie mogłem się wypowiedzieć,
Jak mi było dobrze leżeć.

Szymonie, Szymonie,
Myszy dudy zjadły; (bis.)
Załataj, załataj,
Czém, czém?
Czém tém, czém tém,
Byle dobrze grały. (bis.)



Podkóweczki dajcie ognia,
Bo Marysia tego godna;
A czy godna, czy nie godna,
Podkóweczki dajcie ognia.

Podkóweczki z saméj stali,
Do Marysi daléj, daléj,
Podkóweczki nie stalone,
A latają jak szalone.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)

